

ADAM STUDZIŃSKI

OGRÓD ROKU



OGRÓD ROKU
Copyright © Adam Studziński 2025
Copyright © Ministerstwo Klimatu i Środowiska
Wszelkie prawa zastrzeżone

Ilustracje: Justyna Cychowska

Redakcja i korekta: Iza Dawidowicz, Elżbieta Wołoszyńska-Wiśniewska

Druk i oprawa: db Print Polska sp. z o.o.
Wydrukowano na papierze: Multi Art Silk oraz Serixo

ISBN: 978-83-63296-11-7



– Zbyszku! – zawołała babcia i aż podskoczyła na krześle.

Zbyszek – tak ma na imię mój dziadek. Moja babcia to Ewa. A ja jestem Kuba i właśnie spędzałem u nich kilka zimowych dni.

„Kiedyś to były zimy!” – tu pewnie wtrąciłby dziadek. I miałby rację, bo ta zima w niczym zimy z jego wspomnień nie przypominała. Ani takiej z bajek, wiecie, kiedy wszystko przykryte jest grubą warstwą białego puchu, dzieci jeżdżą na sankach i lepią ogromniaste bałwany. Tutaj za oknem było po prostu szaro i zimno, ale nie mroźnie, pokropował deszcz i wiał mocny wiatr. W taką pogodę niespecjalnie ma się ochotę na wychodzenie na dwór, więc siedzieliśmy w domu. Dziadek oglądał w telewizji mecz, ja rysowałem przy stole, a babcia coś przeglądała na telefonie. I wtedy właśnie krzyknęła, podskakując:

– Zbyszku! Zbyszku, mamy to!

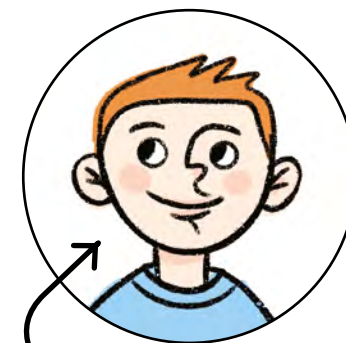
– Coś ty! – Dziadek machnął ręką. – Kowalski spudłował, nie ma gola!



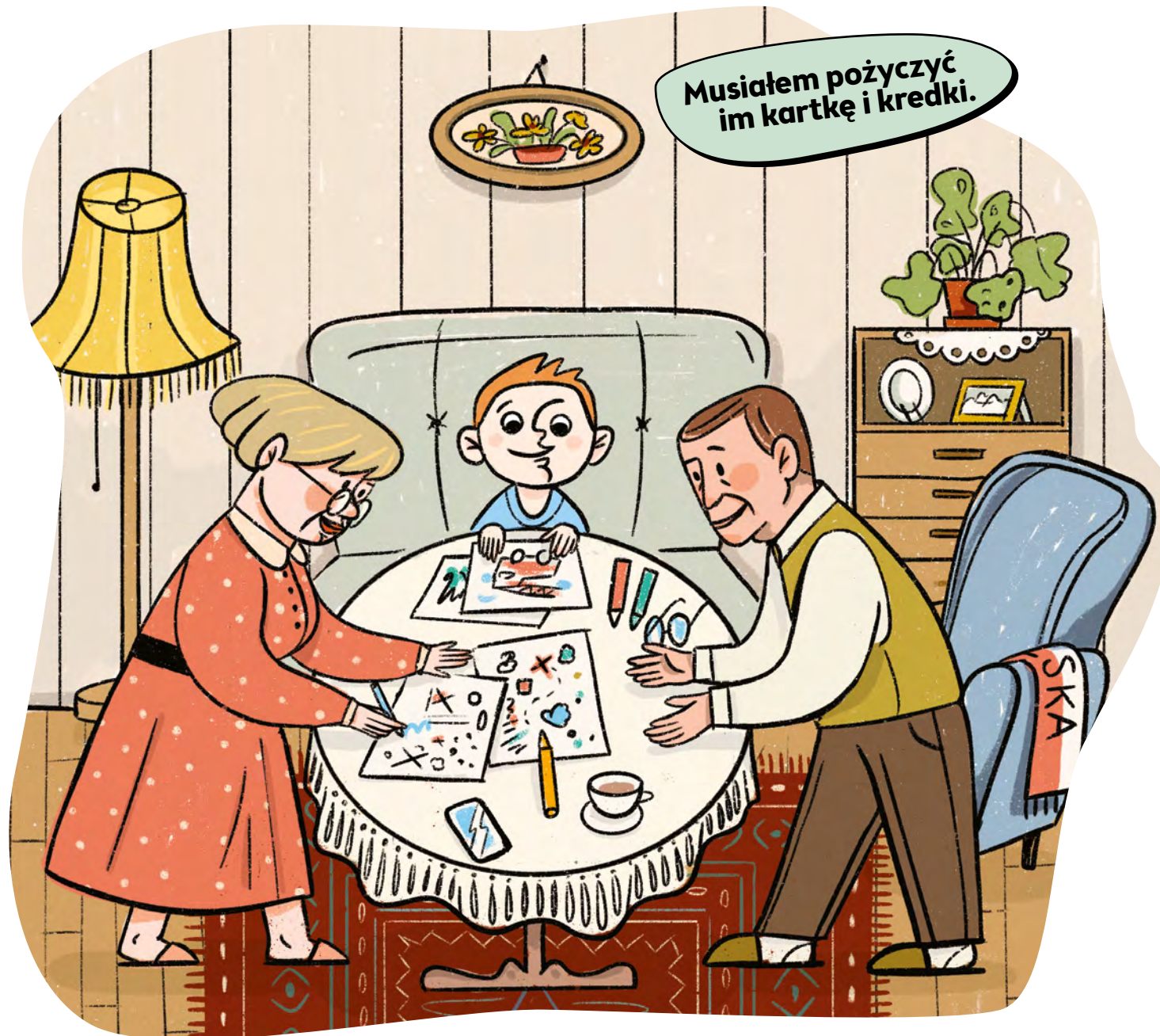
to dziadek Zbyszek



to babcia Ewa



to ja – Kuba



– Nie o to mi chodzi. Ścisz ten telewizor i posłuchaj, coś ci przeczytam. – Babcia poprawiła okulary. – „Uwaga, mieszkańcy! Burmistrz naszego miasta ogłasza konkurs na najpiękniejszy ogród. Nagrodą w nim będzie przyznanie zaszczytnego tytułu OGRODU ROKU i puchar dla jego właścicieli. Ogrody oceni konkursowe jury, a zwycięzcę poznamy pod koniec tegorocznego lata. Zapraszamy więc serdecznie do zgłaszania swoich ogrodów!” – Babcia odłożyła telefon. – Kochanie! To coś dla nas! To będą nasze własne mistrzostwa! Musimy zdobyć ten puchar!

– Mistrzostwa mówisz? Puchar? – Dziadek zupełnie stracił zainteresowanie meczem. Wyłączył telewizor i zaczął z babcią coś omawiać, planować, nawet rysować (musiałem pożyczyć im kartkę i kredki).

Niewiele z tego rozumiałem, więc dalej robiłem swoje. Aż w pewnym momencie zauważyłem, że oboje nade mną stoją. A gdy nasze oczy się spotkały, babcia wyszeptała:

– Zbyszku, na trzy, czte-ry...

I zawołali:

**– Kto najpiękniejszy ogród w mieście ma?!
Jasne, że dziadek i babcia twa!**

Po czym przybili sobie piąteczki.
Spoko!



Dobrze, że samochód dziadka jest dosyć duży. Inaczej nie pomieścilibyśmy się z tymi wszystkimi zakupami, które następnego dnia zrobiliśmy w sklepie ogrodniczym. Kosiarka, piła mechaniczna, sekator, szpadel, grabie – wszystkie te rzeczy zajęły cały bagażnik.

– Ładna sobotka... – zaczął dziadek.
– ...więc będzie robotka! – dokończyła babcia.
Co oni mają z tym rymowaniem?

Ale to prawda, że dzień był ładny. Zimno było, owszem, jednak świeciło słońce i przestało wiać. Po przebraniu się w robocze ciuchy, gotowi do pracy stanęliśmy przed dziadkowym ogrodem. To odpowiedni moment, by trochę o nim wam opowiedzieć.

Po pierwsze, to ogromny ogród. I tajemniczy. Rośnie w nim wiele drzew owocowych, są też orzechy włoskie i ten, no..., co spadają z niego żołędzie..., dąb. Są też różne krzewy, takie, wiecie, rośliny mniejsze niż drzewa. Teraz oczywiście nie, ale wiosną i latem tu i tam pojawiają się grządki, na których babcia z dziadkiem wysiewają warzywa. Od wiosny do jesieni w ogrodzie jest też mnóstwo kwiatów, w tym moje ulubione – ogromne słoneczniki. A za nimi, już na samym końcu ogrodu, zaczyna się takie miejsce, w którym zawsze długo stoją kałuże i nawet w suche lato jest tam mokro. W tych kałużach uwielbiam puszczać papierowe łódeczki. A skoro o zabawach mowa, to ogród w ogóle jest świetnym do nich miejscem. Z Zosią i innymi dziećmi z sąsiedztwa całymi dniami bawimy się w nim w chowanego czy berka. Do tego na drzewach robimy swoje bazy, a taki mały drewniany domek, który tam też stoi, jest naszym zamkiem. I schronieniem przed deszczem.

Dodatkową zaletą ogrodu jest to, że pod ręką mamy tam też jedzenie, poziomki na przykład albo jabłuszka. Więc, mówię wam, uwielbiam, uwielbiam ten ogród. A teraz, gdy go urządzimy, będzie jeszcze piękniejszy!

– Wrrr!

Z zamyślenia wyrwał mnie straszny warkot.

To dziadek uruchomił piłę mechaniczną.

W kasku, z osłoną na oczach, słuchawkami na uszach, w maseczce i rękawicach wyglądał...

– Jak rycerz! – zachwyciła się nim babcia. – Tnij krzaczory, dzielny mój mężu!

Rycerz dziadek przystąpił do pracy. A ja z babcią nosiliśmy ścięte gałęzie, pakowaliśmy je do worków, grabiliśmy pozostałości i tak dalej. Sporo tego było, nie powiem. Ale daliśmy radę. Na koniec znów stanęliśmy razem, by w świetle zachodzącego słońca ocenić efekty naszej pracy.

– No! – stwierdził z zadowoleniem dziadek.



– No! – przyklasnęła babcia.

No nie... Mnie się nie podobało. Ogród bez tych wszystkich krzewów stał się jakby mniejszy i pusty. Ale może ja się nie znam?

– Na dzisiaj starczy, moi drodzy! Teraz wszyscy po kolei do kąpiel! – zarządziła babcia. – A na kolację będą zasłużone naleśniki!



W niedzielę nic się w ogrodzie nie działo, za to w poniedziałek... oj, nie pospałem! Obudził mnie znany mi już odgłos piły. Wstałem więc na śniadanie. Chwilę później do kuchni wszedł dziadek.

– Zbyszku, kawka ci stygnie – przywitała go babcia. – Jak idzie praca?

– Świetnie! Teraz nasze drzewa wyglądają ładnie. Nie mają już tylu tych gałęzi, rosnących każda w inną stronę.

O nie, gałęzie! – pomyślałem o naszych nadrzewnych bazach.

– Dziadku! Czemu je ściąłeś?!

– Kubusiu, to bardzo proste. – Dziadek wziął łyk kawy. – Mniej gałęzi równa się mniej ptasich gniazd. Mniej ptasich gniazd równa się mniej kup. A mniej kup równa się...

– ...czystszy ogród! – dokończyła babcia uradowana. – I lepsza ocena w konkursie. Brawo, Zbyszku!

No tak, ja też nie lubię ptasich kup. Ale co z naszą zabawą?

– Z tego samego powodu dzisiaj rozbiorę też ten stary domek na narzędzia.

I tak od dawna nic już w nim nie trzymam. A wiecie, że pod jego daszkiem ptaki na wiosnę robią sobie gniazda? Ba, żeby to jakieś ładne ptaki chociaż były. Ale skąd, lęgną się tam zwykłe domowe wróble!

Chciałem właśnie powiedzieć, żeby zostawić ten domek dla mnie, kiedy u bramy rozległ się klakson. Wyrzałem przez okno. Przed wjazdem stała ciężarówka.

– W samą porę! – Dziadek zerwał się, nie kończąc kawy. Pobiegłem za nim. – Panie Zdzisiu, tam! – Przekrzykując silnik, dziadek wskazywał palcem na koniec ogrodu. – Tam pan jedź!

**Pierwsza moja myśl
była taka, że dziadek urządza
mi wielką piaskownicę.**



Ciężarówka pojechała na wyznaczone miejsce, a potem zobaczyłem, że unosi się jej naczepa, bo to była wywrotka, i zaczęło się z niej coś wysypywać. Pierwsza moja myśl była taka, że dziadek urządza mi wielką piaskownicę. Ale to nie był piach, tylko zwykła ziemia.

– Dziadku, o co tu chodzi?

– **Zasypujemy nasze błotko! Bo po co nam ono? Tylko żaby miały z niego uciechę. My chcemy jednak wygrać konkurs, a nie trenować żaby w skokach w dal. – Dziadek chwycił za szpadel. – Wreszcie będzie tam normalnie, jak wszędzie.**

– Aha...

I to było „aha” pełne zawodu. Czyli nie piaskownica. I nie będzie kałuż. Szkoda...



Szkoda też, że musiałem już wracać do siebie. Byłoby fajnie, gdyby babcia z dziadkiem mieszkali trochę bliżej. A że mieszkają daleko, to nie widuję ich zbyt często. Dlatego kolejny raz odwiedziłem ich dopiero wiosną.

Wówczas cały ogród porośnięty był równiutką, zieloniutką trawą. Taką jakby prosto ze sklepu. Poza tym niewiele tam było. Krzewy, domek, błotko – zniknęły już zimą. Drzewa rosły dalej, ale z poobcinanymi gałęziami wydawały się malutkie. Natomiast przez ogród prowadziły nowe ścieżki wyłożone betonową kostką. Gdy spacerowaliśmy wzdłuż jednej z nich, zauważyłem przy niej świeżo wykopany dołek. Za chwilę kolejny i kolejny taki sam.

– Do czego one służą? – zapytałem.

– To są, proszę ja ciebie, miejsca na latarnie – wyjaśnił dziadek. – Postawimy ich kilka w naszym ogrodzie, dzięki temu nawet w nocy będzie tu jasno.

– I jak romantycznie! – dodała babcia. – Będziemy wieczorami siedzieć ze Zbyskiem na ławeczce, jak para zakochanych z dawnych lat! – I objęła dziadka.

Oni będą sobie siedzieć na ławeczce, a ja? W co tu się bawić w takim ogrodzie, przepraszam?

– Oczywiście to jeszcze nie koniec. Tu i tam zrobimy klomby... miejsca dla kwiatów. Posadzimy w nich róże! Czerwone, żółte, białe, różowe... po prostu uwielbiam róże! A tam zrobimy nasze idealne warzywne grządki.

– Na nagrodę zasługują te porządki! – zrymował dziadek.

Nagle babcia zauważyła coś na trawniku.

– O nie! Jeszcze tu i tam. Wszędzie! Zbyszek, mamy problem! Dżdżownice po deszczu powychodziły z ziemi.

Faktycznie, było ich kilka i wiły się, jak to dżdżownice.

– Nie dość, że są paskudne, to jeszcze pobrudzą nam trawnik swoimi odchodami! Faj! Co na to powie konkursowe jury? – Babcia się jednak zaraz rozchmurzyła. – Wiem! Sprawdzę w internecie, jak pozbyć się takich przyjemniaczków! Kubusiu – przytuliła mnie, myśląc, że ja się tymi dżdżownicami przejąłem – jesteśmy dopiero w połowie drogi do idealnego ogrodu.



– Albo w pierwszej połowie meczu – dodał dziadek. – Przyjedziesz do nas w wakacje, wtedy będziesz całkowicie zachwycony!



I przyjechałem. Znaczy oczywiście rodzice mnie przywieźli.

Na cały miesiąc! Najpierw rzuciłem się babci i dziadkowi na szyję, a potem krzyknąłem:

– Biegnę zobaczyć ogród, pewnie jest już najpiękniejszy na całym świecie!

Babcia z dziadkiem spojrzeli po sobie.

– To znaczy, no...

– Jest nieźle, owszem, chociaż – tu dziadek odchrząknął – kilka rzeczy wymaga jeszcze poprawek...

– Super, to ja wam chętnie pomogę!

– Nie śpiesz się tak, wnusiu. – Babcia mnie zatrzymała. – Może w telewizji coś najpierw pooglądasz?

– Albo w warcaby zagramy? – dodał dziadek.

Dziwne. Myślałem, że sami będą chcieli mi wszystko od razu pokazać.

– Ta pogoda dziś taka niespecjalna... Chodźmy lepiej do domu.

– Mamo! – odezwała się moja mama do swojej mamy, czyli do mojej babci. – Przecież pięknie jest dzisiaj! Słonecznie, ciepło, ale nie za gorąco.

– No tak, tak... – przyznała babcia. – Jednak w każdej chwili może zacząć padać.

– I wiać – dodał dziadek. – Mocno wiać, że hej! O, o, widzicie tamte chmurzysko?

– Wskazał na malutki biały obłoczek. – Zapowiada nagłe załamanie pogody.

Mama przewróciła oczami.

– Kubuś, biegnij do ogrodu. A ja porozmawiam z dziadkami o ich dzisiejszym samopoczuciu.

Spod bramy ruszyłem więc przed siebie, zatrzymując się dopiero na ogrodowym trawniku. On... nie wyglądał wcale tak ładnie jak wiosną. Był bardziej żółty niż zielony, a miejscami brakowało na nim trawy, co – jak przyznacie – w przypadku trawnika jest dużym problemem. Za to rosły na nim różne chwasty. No nic, poszedłem dalej.

Róże. Lubicie róże? Ja niespecjalnie, przez te kolce. Bo powiedzmy, że w takie róże wpadnie piłka. Nawet jeśli się nie przebije, to wyjmując ją, można się strasznie pokłuć. Chociaż nie da się ukryć, że róże faktycznie są piękne. Ale chyba nie wszystkie. Bo te babci były jakieś takie... blade, małe, poniszczone. W porównaniu z tymi, co rosły u sąsiadki, wyglądały bardzo źle.

A właśnie. Wtedy zza płotu usłyszałem wołanie:

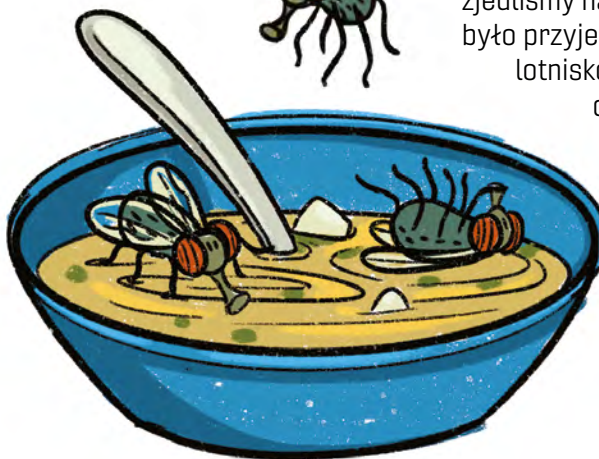
– Kuba, to ty? Przyjechałeś?! – wołała Zosia, córka sąsiadów moich dziadków, wspominałem już o niej. – Wpadniesz do nas?

Zapytałem mamy, a ta się zgodziła.

– Tylko na obiad przyjdź do nas. Z Zosią oczywiście – powiedziała babcia.



Jakoś się nie rozpadało i nie rozwiało, jak zapowiadali dziadkowie. Dlatego obiad zjedliśmy na dworze, przy stole rozstawionym na... powiedzmy trawniku. Ogólnie było przyjemnie. Tylko te muchy! Dwie pluskały się w mojej zupie, inne zrobiły sobie lotnisko na ziemniaczkach. Kolejne wspinały się po cieście. Jedna się nawet do niego przykleiła i zanim zdążyłem krzyknąć, tata ją zjadł. Smacznego!



**Tylko te muchy!
Dwie pluskały się
w mojej zupie.**

Potem rodzice wyjechali, bo oni nie mieli tyle wakacji co ja. Więc zostałem z dziadkami. I z Zosią, z którą postanowiłem zwiedzić dalszą część ogrodu.

– Nazbierajcie trochę marchewek! – zawołała babcia za nami.

Rozglądaliśmy się dookoła.

– Sporo się tu zmieniło. Nie ma się gdzie schować. Ani bazy zbudować. – Zosia była tym zmartwiona, podobnie jak i ja.

– Chodź, na pocieszenie zjedzmy trochę poziomek. – Wskazałem na zauważony właśnie owocowy krzaczek.

Dziwne, bo niektóre poziomki na nim były jakby nadgryzione. Coś się tam jednak jeszcze znalazło.

– Dobre są, co? – zapytałem z nadzieją.
– Takie sobie – odpowiedziała Zosia. – U nas w ogrodzie rosną lepsze. To nie było miłe – pomyślałem. Ale faktycznie, w smaku żadna rewelacja.
– A umiesz wyrywać marchewki? – zapytałem.
– Jasne! – Zosia ledwie schyliła się nad grządką, a już miała jedną, zaraz dwie, trzy...
– Co one takie małe? – Oglądała je uważnie. – Nasze są dużo większe.

Jejku, jak ona się przechwala!

– Normalne są – stwierdziłem, chociaż bez przekonania. Bo one rzeczywiście były mini.
– A wiesz co? – kontynuowała Zosia. – U nas nie ma mszyc. A na waszych kwiatkach są.
– No widzisz! A u nas są! – Ucieszyłem się, że ogród dziadków jest jednak w czymś lepszy od ogrodu sąsiadów.

**Komary!!!
Tłukłem je na nogach,
rękach, czole.**

Zosia spojrzała na mnie dziwnie.

– Obawiam się jednak, że mogą do nas przejść.
– O nie! – zawołałem. – Nie oddamy wam naszych msz-msz...
– Mszyc – dokończyła Zosia.
– Właśnie!
– Widziałam też, że macie ślimaki.
– Pewnie, że mamy! – potwierdziłem od razu. – Czemu mamy nie mieć? To porządny ogród jest!

No wreszcie Zosia miała nam czego zazdrościć!

Kolację, już bez Zosi, też mieliśmy zjeść na dworze. Ale gdzie tam! Komary! Tłukłem je na nogach, rękach, czole. W świetle latarni widać było ich całe chmary... Auć! Kolejny mnie ugryzł!

– Tu się nie da wytrzymać! – krzyknąłem i uciekłem do domu. Uspokoiłem się dopiero wtedy, gdy babcia posmarowała moje bąble czymś łagodzącym.

– Nigdy tu tyle komarów nie było. – Dziadek sam drapał się po swędzącym łokciu.
– W tym roku normalnie się na nas uwzięły!
– Ślimaków i mszyc też mamy jakąś inwazję! – Babcia złapała się za głowę.
– A to źle? – zdziwiłem się.
– No przecież to szkodniki straszne! Mszyce niszczą moje róże kochane! Wysysają z nich soki i przez to kwiaty są takie byle jakie.
– A ślimaki, te, te... nicponie bez skorupy – zdenerwował się dziadek – objadają nam owoce i warzywa. Widziałeś, jak poziomki są ponadgryzane? A sałata jest cała dziurawa!



No tak... teraz już wiem, dlaczego Zosia tak na mnie dziwnie patrzyła.

– I jeszcze ten nieudany trawnik. – Babcia z emocji aż pociągnęła nosem. – Nie dość, że łysawy, to chwastami zarasta.

– A przecież pryskałem rośliny czymś, co miało załatwić szkodniki, i rozrzucałem na ziemię coś, dzięki czemu rośliny miały rosnąć lepiej. Tak w sklepie obiecywali. I ślimaki codziennie zbierałem do wiadra. I co? Nic to nie pomogło. Tylko smród był większy, a mnie plecy rozboleły.

– Przecież my w życiu tego konkursu nie wygramy! – Babcia wydmuchała nos w kolejną chusteczkę. – Tylko się skompromitujemy!

Oj, zły byłem na dziadków za te zmiany w ogrodzie.
Ale przede wszystkim było mi ich żal.



Poszedłem spać w niewesołym nastroju. Ale czy spałem? Prawie wcale, bo znowu dokuczały mi komary! I ja miałem tu miesiąc wytrzymać? Z ogrodem, w którym nie da się bawić, i z Zosią, która będzie codziennie mówić, że u niej jest lepiej? O nie! Poproszę rodziców, by mnie stąd szybko zabrali!

– Babciu... – zacząłem, by to oznajmić przy śniadaniu.

– Czekaj, Kubuś, chwileczkę. – Babcia czytała coś na telefonie. – Aha... no rzeczywiście... wszystko się zgadza! – powtarzała przy tym sama do siebie.

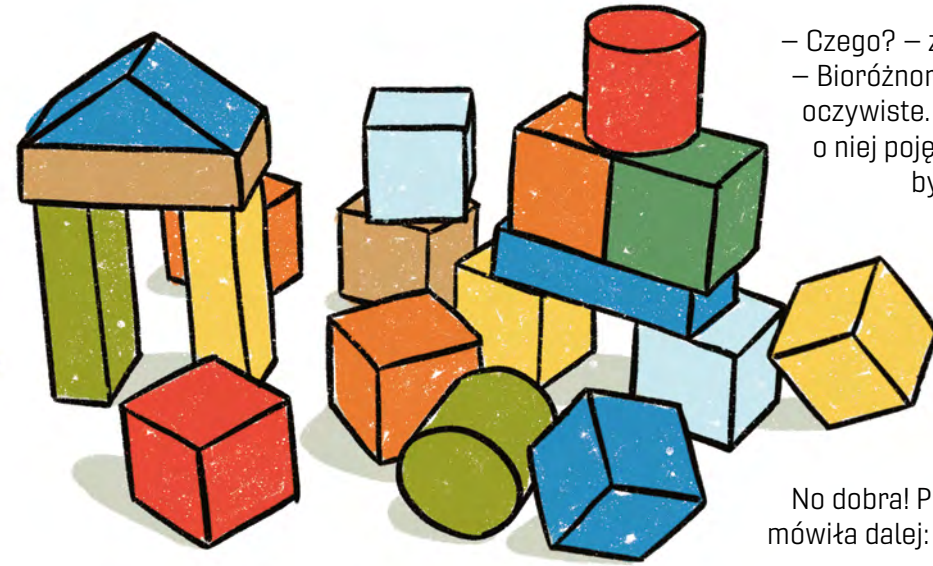
– Bo ja chciałem ci coś ważnego powiedzieć...

– Ja też! – odparła babcia uśmiechnięta. Wyglądała zupełnie inaczej niż wczoraj wieczorem. – Tobie i dziadkowi.

– Słuchajcie! Już wiem, dlaczego w tym roku w ogrodzie nic nam nie wychodzi!

– Naprawdę? – Dziadkowi spadł z chleba żółty ser. – Dlaczego?

– Bo zabrakło nam BIO-RÓŻ-NO-ROD-NO-ŚCI!



– Czego? – zapytaliśmy chórem.

– Bioróżnorodności – powtórzyła babcia, jakby to było zupełnie oczywiste. – No dobrze, przyznaję, ja do dzisiejszego ranka też nie miałam o niej pojęcia. Ale teraz już wiem, co zrobić, by w naszym ogrodzie znów było pięknie i przyjemnie.

Nadstawiliśmy uszu.

– W przyrodzie wszystko jest do czegoś potrzebne. I krzaki. I bagno. I gałęzie. I dżdżownice. Kubuś, przynieś tu swoje drewniane klocki.

Spojrzałem na babcię. Teraz chce się bawić? Przy śniadaniu? No dobra! Poprosiła, bym coś z nich ułożył, więc to zrobiłem. A babcia mówiła dalej:

– W przyrodzie wszystko jest też ze sobą połączone. Różne elementy tworzą jedną całość, tak jak te klocki, z których zbudowałeś domek. Ale w przyrodzie ta całość nazywa się ekosystemem. A im więcej w tym ekosystemie klocków, czyli gatunków roślin i zwierząt, tym większa bioróżnorodność.

Bioróżnorodność – powtórzyłem sobie w myślach, by lepiej zapamiętać.

– A co by się stało, gdybyś ze swojej budowli wyjął na przykład ten klocek? – kontynuowała babcia i wskazała na jedną ze ścian mojego domku. To raczej oczywiste. Ale proszę bardzo. Wyjąłem. I domek się rozleciał. Najgorzej, że jeden z klocków wpadł do kawy dziadka.

– Sami widzicie. A myśmy, przygotowując ogród do konkursu, wyjęli kilka takich przyrodniczych klocków. I dlatego zepsuł się nasz ogrodowy ekosystem.

Jakie znowu klocki wyjęliśmy z ogrodu? – zastanawiałem się.

Tymczasem babcia ogłosiła:

– Chłopaki, po śniadaniu bierzemy się do pracy! Trzeba tu kilka spraw odkręcić!

**Kubuś,
przynieś tu swoje
drewniane klocki.**



– Po pierwsze, Zbysku, od dziś przestajesz sypać na trawnik to coś, co miało odstraszać dżdżownice. Wręcz przeciwnie, teraz zapraszamy je do naszego ogrodu.

– Dlaczego, babciu? – zapytałem zaskoczony. – Przecież tak ich nie lubiłaś.

– Oceniałam je po wyglądzie. A one robią kawał dobrej roboty. Ich tunele napowietrzają ziemię, a w takiej ziemi wszystko lepiej rośnie. I nie gnije, bo woda łatwiej w nią wsiąka. Poza tym rośliny uwielbiają rosnać na kupkach dżdżownic.

Skoro tak... Ale w głowie od razu pojawiło mi się kolejne pytanie.

– Tylko co zrobić, by dżdżownice się na nas odobrzyły i wróciły do ogrodu?
– Zbudujemy im kompostownik! – Babcia już miała gotową odpowiedź. – Taki śmietnik na skoszoną trawę, opadnięte liście czy obierki po owocach i warzywach. Będą miały super restaurację i hotel w jednym!

Nawet nie wiedziałem, że budowa kompostownika to taka fajna zabawa. To znaczy, budował go dziadek, a ja go ozdobiłem. Na dużej drewnianej skrzynce bez dna – bo tak wygląda nasz kompostownik – namalowałem dżdżownicę w śliniaczku, oblizującą się na widok ogryzków i innych przysmaków. Dodałem jeszcze pięć gwiazdek. A co! Kiedy przyszła do nas Zosia, pozwoliłem jej domalować trochę kwiatków.

– Bardzo dobrze! – Babcia była zadowolona i od razu wrzuciła do kompostownika przyniesione z kuchni resztki warzyw, skorupki jajek, a nawet zużyte torebki herbaty i fusy po kawie. – Wkrótce dżdżownice do nas wrócą. A jak przejdą to, co dla nich szykujemy, będziemy mieli najlepszy nawóz dla naszych roślinek.

Dumni byliśmy z siebie, babcia zaś dodała:
– Jutro jednak czeka nas większe wyzwanie.

Ciekawe jakie? Chociaż komary wciąż gryzły, to już nie miałem ochoty wracać do domu. Myślałem o tym, co będzie się działo dalej.



E tam, to wcale nie było trudne! Trzeba było tylko odkopać zasypiane bagno. Bo chociaż nam potrzebne ono nie było (poza puszczeniem papierowych łódeczek), to żabom – owszem, bo one lubią takie podmokłe klimaty. A nam żaby były potrzebne, gdyż jak wyczytała babcia, z apetytem zjadają komary i ślimaki, czyli dokładnie te stworzenia, które nam tak dokuczały i których chcieliśmy się pozbyć. Poza tym oczywiście znów miałbym gdzie puszczać papierowe łódeczki.

Więc, jak mówiłem, odkopywanie bagna trudne nie było. To znaczy, dla mnie, bo ja nie kopiałem. Dziadek kopał. I jeszcze woził mnie na taczkach, którymi transportował wykopaną ziemię.

– Jestem wykończony! – stwierdził wieczorem. Ale w samą porę skończył robotę, bo następnego dnia, i przez kolejne dwa, prawie ciągle padał deszcz. I na końcu ogrodu zrobiła się wielka kałuża. Sukces!

Jednak nie myślcie, że w te deszczowe dni się leniłem, siedziałem przed telewizorem czy coś w tym stylu. O nie!

Jak przyszła do nas Zosia, to pozwoliłem jej domalować trochę kwiatków.





Prawie cały ten czas spędziłem w warsztacie dziadka. On robił budki dla ptaków, a ja mu pomagałem. Taka budka przypomina domek, z małą, okrągłą dziurką, czyli wejściem do środka. A po co w ogóle je robiliśmy?

To był pomysł dziadka. Otóż docenił on wróble. Dowiedział się, że wróble, żeby wykarmić swoje

pisklaki – a to są straszne głodomory – ciągle łapią owady, w tym mszyce niszczące kwiatki babci oraz oczywiście muchy i komary.

– Aaa! Do stu tysięcy zgniłych pomidorów! Ten młotek mnie chyba nie lubi!

To dziadek przyłożył nim sobie w palec. To już trzeci raz tego dnia.

Wracając zaś do tematu: przez wycięcie krzaków i gałęzi drzew oraz rozebranie starego domku na narzędzia pozbawiliśmy wróbli schronienia i miejsc, w których mogłyby robić gniazda i znosić jajka. Ale teraz chcieliśmy to nadrobić, wieszając dla nich specjalne budki.

W naszym ogrodzie potrzebowaliśmy jeszcze jednego przyjaciela. Jeża. On z przyjemnością zajmie się ślimakami. Tylko jak sprawić, by jeż, a najlepiej kilka, u nas zamieszkał?

– Trzeba tu nieco nabałaganić! – oznajmiła babcia. – Tak, nie przesłyszeliście się. Nabałaganić.



Gdy skończyły się deszczowe dni, z gałęzi, mchu i kory zrobiliśmy miejsca, w których jeże mogły wygodnie pospać. W dzień, bo jeże śpią w dzień, a w nocy polują. Stworzone w ten sposób legowiska jesienią mieliśmy przysypać jeszcze liśćmi, by jeże chciały w nich przezimować.

Z myślą o nich, ale też o wróblach, dziadek zasadził w ogrodzie różne krzewy, mniejsze i większe, takie ozdobne, z kwiatami... Babciu, jak ten się nazywał? A, hortensja. I owocowe, na przykład porzeczki. W nich zwierzęta będą mogły się ukrywać, gniazdować czy pożywiać się ich owocami.

– I jeszcze wy. Nie możecie tu zostać. – Dziadek przemówił do ogrodowych latarni. – Jeże nie lubią waszego światła, a do tego przyciągacie nocą jeszcze więcej owadów.

– Żadna strata – uznała babcia. – I tak przez te komary nie dało się wieczorem wysiedzieć w ogrodzie. Proszę, proszę, tyle tu pozmienialiśmy z powodu takich małych zwierzątek: dżdżownic, żab, wróbli i jeży.



Jak pamiętacie, początek wakacji u dziadków nie należał do udanych, ale potem zaczęło być naprawdę fajnie. Mieliśmy co robić, poza tym ogród znów stał się ciekawym miejscem zabaw. Czas płynął szybko, aż ostatniego wakacyjnego dnia nastał ten WIELKI dzień. Przybyło do nas konkursowe jury.

Jeden z panów ciągle coś pisał w swoim notatniku. Drugi chodził ze szkłem powiększającym. Naprawdę! Oglądał ziemię, kwiatki, owoce i warzywa. Nawet do kompostu zajrzał i grzebał w nim patykiem. A pani robiła wszystkiemu zdjęcia.



Potrzebowaliśmy w ogrodzie jeszcze jednego przyjaciela. Jeża.

Ależ dziadek z babcią byli zestresowani! To znaczy, denerwowali się, jak też jury oceni ich ogród. Babcia o mało nie zemdlą, kiedy wróbel narobił panu na jego notatnik.

**– Katastrofa... – wyszeptała do dziadka.
Po chwili jeszcze pani, co robiła zdjęcia,
wpadła w nasze bagno i zgubiła w nim swój bucik.**

– Jerzy! – wykrzyknęła.

– Tak, tak, mamy miejsca dla jeży – odezwałem się – ale nie można im teraz przeszkadzać, bo śpią. A tym bardziej dotykać, to jest zakazane!

Oj, ale się wyrwałem. To jeden z tych panów miał na imię Jerzy, ten, który pomógł pani odzyskać jej strasznie upačkany błotem pantofelek.

– Porażka... – Dziadek pacnął się ręką w czoło.

– No cóż... – Jury, obejrzawszy to, co było do obejrzenia, i krótko się naradziwszy, oznajmiło swój werdykt: – Państwa ogród był ostatnim, jaki mieliśmy do oceny. Musimy przyznać, że kwiaty są w nim ładne, krzewy też bardzo nam się podobały. Trawnik jest zupełnie przyzwoity. Drzewa zadbane. Grządki warzywne w najlepszym porządku. Ale...

O, o! Jeżeli po tych pierwszych zdaniach na twarzach dziadków pojawił się wyraz ulgi, to po zapowiadającym problemy „ale” zrobiło się gorąco.

– Ale to bagno na końcu ogrodu... Te sterty gałęzi... Wróble nad nami... – pan z komisji wskazał na ślad po kupce na swoim notatniku – i dżdżownice pod nami...

Babcia z dziadkiem chwycili się mocno za ręce, przeczuwając, że za chwilę usłyszą najgorszą ocenę...

– To absolutna rewelacja! Brawo! – Komisja zaczęła klaskać. – To najbardziej bioróżnorodny ogród, jaki widzieliśmy! Wspaniale, że troszczycie się o to, by mieszkały w nim różne gatunki zwierząt, i że one pomagają wam utrzymać ogród w tak świetnym stanie! Nie mamy wątpliwości, że to właśnie temu miejscu należy się tytuł OGRÓDU ROKU!

Aleśmy się ucieszyli! Babcia wyściskała całą komisję, ja skakałem najwyżej, jak potrafię, a dziadek szalał na trawniku jak piłkarz po strzeleniu gola.

– Ewa, Zbyszek, Kuba, ogród to ich chluba! – wykrzykiwał przy tym kolejną rymowanąkę.

Aż Zosia przybiegła zaciekawiona tym, co się u nas działo.

**– To absolutna rewelacja!
Brawo! – Komisja zaczęła klaskać.**



Wieczorem, kiedy przyjechali po mnie rodzice, zrobiliśmy wielkie przyjęcie w ogrodzie.

A na środku stołu stał piękny puchar. I wiecie, że komarów było malutko?

Tak radośnie zakończyły się te wakacje. Ach, szkoda, że już po... Lecz od jutra będę się przyglądać, czy nasz przedszkolny ogródek też jest bioróżnorodny.





POKOLORUJ
BOHATERÓW
BAJKI





Książka powstała w ramach ogólnopolskiej
kampanii informacyjno-edukacyjnej
„Bioróżnorodnie połączeni”
Ministerstwa Klimatu i Środowiska.

Pokazuje dzieciom, jak ważną rolę odgrywają
zwierzęta i rośliny w ekosystemach.

Poznajcie bliżej naszych bohaterów, zobaczcie
teledyski i dowiedzcie się więcej na stronie:

BIOROZNORODNOSC.GOV.PL



Ministerstwo
Klimatu i Środowiska



Sfinansowano ze środków
NARODOWEGO FUNDUSZU
OCHRONY ŚRODOWISKA
i GOSPODARKI WODNEJ

